



## Adam Gryniewicz

część I z II

Sygnatura notacji: **N1132**  
Data urodzenia: **1941 r.**  
Data nagrania: **28.11.2014 r.**  
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Wiesława Młynarczyk**  
Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 39 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Adam Gryniewicz:** Nazywam się Adam Gryniewicz od pewnego czasu, czyli od 1947 roku. Urodziłem się na Uralu w roku 1941 jako Abram Gryniewice. To jest z nazwiskiem mojego ojca. Moi rodzice znaleźli się tam, bo uciekli z Polski w 1939 roku z Łodzi przez granicę w okolice Białegostoku i potem zostali wysłani na Ural, gdzie mój ojciec pracował jako ślusarz w fabryce, a mama była częściowo w kołchozie, częściowo pracowała też w przemyśle. Ja oczywiście byłem tam w przedszkolu. Jedyne język, jaki znałem, był język rosyjski. I jak wróciliśmy do Polski w maju 1946 roku, to ja zostałem wysłany do domu dziecka, ponieważ rodzice dostali mieszkanie w akademiku dla studentów, gdzie nie można było mieć dzieci, więc wylądowałem w domu dziecka w Helenówku, żydowskim domu dziecka koło Łodzi, gdzie przebywałem przez, o ile dobrze sobie przypominam, przez jakieś pół roku, do czasu, jak rodzice otrzymali mieszkanie w Łodzi. Było to już w roku 1947. I na początku roku 1948 wylądowałem w sanatorium, jak wszystkie dzieci urodzone w Związku Radzieckim w czasie wojny, to ja przeszedłem swoją chorobę płuc, jak wszystkie inne dzieci. Tak że powiedzmy, początki nie były zbyt radosne. Ale potem jakoś tak wszystkie choroby, jakie przeszedłem w dzieciństwie, wszystkie znane w Europie, uodporniły mnie na całą resztę następnych lat, bo udało mi się po tym ostatnim moim pobycie w sanatorium, powiedzmy sobie, zachować zdrowie przez dłuższy okres. W związku z tym, że nie wiadomo było, kiedy pójdę do szkoły w związku z pobytem w sanatorium, zacząłem szkołę w szkole żydowskiej w Łodzi, bo chodziło o to, żebym poszedł do szkoły, w której nie ma religii. Jedyna szkoła w Łodzi, gdzie nie było religii... Były dwie szkoły w Łodzi, gdzie nie było religii, jedna szkoła TPD-owska, która już wtedy oczywiście była wypełniona różnymi innymi ludźmi, którzy wysłali tam dzieci. Poszedłem do szkoły żydowskiej w roku 1948. Zostałem rok tylko w tej szkole, dlatego, że w 1949 roku wczesną jesienią mój ojciec został przeniesiony służbowo do Warszawy i z tej szkoły żydowskiej nie pamiętam zbyt wiele. Pamiętam natomiast, że było dla mnie wielkim przeżyciem,

traumatyzujące chodzenie do szkoły w niedzielę, a nie w sobotę i chodzenie do szkoły z tornistrem w niedzielę, no to tak prawie było jak gwiazda Dawida. I dla 7-letniego dziecka nie było takie proste, co mój ojciec doskonale zrozumiał, bo w nagrodę za chodzenie do szkoły w niedzielę to chodziłem na spektakle teatru Guliwer. W każdą niedzielę po szkole, tak że miałem jakieś...

**Wiesława Młynarczyk:** A czy coś pamiętasz z domu dziecka? Jakie dzieci były w domu dziecka?

**Adam Gryniewicz:** Z domu dziecka niewiele pamiętam. Ja pamiętam tyle, że jak przyszedłem do domu dziecka, mówiłem po rosyjsku, wyszedłem z domu dziecka, mówiłem tylko po polsku. W ciągu sześciu miesięcy zapomniałem całkowicie rosyjski, nauczyłem się polskiego. Już potem tylko mówiłem po polsku, tak że... Oczywiście mam jakieś zdjęcia, jedno czy dwa z tego domu dziecka, z odwiedzin rodziców i tak dalej. Jedyne z tego domu dziecka, co mi zostało na dłuższy czas, to o czym zresztą w domu mama mi potem mówiła, to jakaś niejasna świadomość, że moi rodzice są moimi rodzicami. Ponieważ w tym domu dziecka były na ogół sieroty, i to na ogół sieroty, które same przeżyły wojnę w Polsce, to wytłumaczyli mi, ja miałem w końcu jakieś sześć lat, to mi wytłumaczono, że to na pewno nie są moi rodzice, bo takich, którzy mają rodziców, tam nie ma. Są tacy, co mają może jednego rodzica, ale najczęściej są to ludzie, którzy się podają za rodziców, a my jesteśmy dziećmi, które rodziców nie mają. No i tak podobno jeszcze przez dwa lata mamie wmawiałem, że nie są moimi rodzicami. Tak że to był ten... To było to, co mi zostało z domu dziecka.

**Wiesława Młynarczyk:** A co możesz powiedzieć o swoich dziadkach? Z jakich rodzin pochodzili? Czy to były rodziny tradycyjne, czy komunizujące?

**Adam Gryniewicz:** Rodziny moich dziadków z obu strony, były rodzinami w miarę tradycyjnymi. Jeśli chodzi o rodzinę od strony ojca, to niewiele wiem, dlatego, że cała rodzina zginęła i zresztą to, co wiem, to z tego, co się sam dowiedziałem później, mój ojciec nigdy o rodzinie nie chciał mówić. O rodzinie matki łatwiej jest mi mówić, bo z rodziny matki przeżyły cztery osoby. Trzy w Belgii, to dwie mamy siostry i brat, którzy wyjechali z Polski pod koniec lat 20., na początku lat 30. i jedyny członek rodziny, który przeżył w Polsce, to jest mamy bratanek najstarszy. Jedyne z całej rodziny przeżył w Polsce, przeżył wojnę w Wieluniu. Był po getcie w Wieluniu, był w getcie w Łodzi, po Łodzi był w Oświęcimiu, po Oświęcimiu, po marszu śmierci wylądował chyba w Buchenwaldzie. No i jakoś tam go wyzwolili Amerykanie.

**Wiesława Młynarczyk:** Czy twoi rodzice opowiadali o Holokauście? Czy to był temat do opowiadania?

**Adam Gryniewicz:** Po pierwsze, moi rodzice nie opowiadali, po prostu dlatego, że oni sami tego nie przeżyli, po drugie, powiedzmy, moje wszystkie wiadomości o tym, to były wiadomości po prostu takie, że tak powiem, z dookoła, ponieważ byłem w środowisku nim dotkniętym, no to oczywiście zaliczyłem wszystkie obozy, zaliczyłem wszystkie rocznice powstania w getcie od 1950 roku, od kiedy przechodzimy do Warszawy. Tak że ja wiedziałem i w cyfrach, i w realiach, jak się odbywało. Oczywiście rodzice nie mogli o tym mówić, bo nie mieli własnych doświadczeń, ale doświadczenia innych ludzi, z którymi się stykali, moja mama pracowała w żydowskiej gazecie, więc często miała kontakt, a ojciec miał znajomych i tak dalej, tak że problem Holokaustu nie był ani tajemnicą, ani powiedzmy,

tabu dlatego, że to było... Będąc w Polsce, było tak oczywiste, że... że było częścią historii, częścią rzeczywistości. I ta część rzeczywistości tak była oczywista dla wszystkich i starszych, i młodszych, że do tej pory często tłumaczę nasze związki, jakie my mamy z naszymi przyjaciółmi z czasów polskich, z tego kręgu żydowskiego, nasze kontakty są spowodowane właśnie tym... tym jakimś osamotnieniem rodzinnym. Te składy rodzinne: tata, mama, siostra i brat, żadnych innych krewnych, były tak oczywiste dla wszystkich, że takim typowym przykładem jest rozmowa, którą miałem z dziećmi moich znajomych, którzy byli u moich rodziców, gdzie dyskutowaliśmy o jakimś innym chłopcu, którego żeśmy znali i kwestia była, czy on jest Żydem, czy nie. Ja oczywiście mówiłem, że jest Żydem, bo znam jego rodziców, wiem, kto on jest, a jeden z tych chłopców twierdził, że on nie jest Żydem i po dłuższej dyskusji, kiedy on powiedział „nie”, a ja powiedziałem „tak”, to on powiedział: „On nie jest Żydem, on nawet nie może być Żydem”. Oczywiście zaskoczyła mnie... Zaskoczyła mnie ta propozycja, że on nie może być Żydem. „No, dobrze, dlaczego on nie może być Żydem?” „No, nie może być Żydem, bo ma babcię”. W moim pokoleniu rodzina kończyła się na tacie i mamie. Tak się zaczynała i tak się kończyła. Wujków żeśmy nie mieli, tylko byli znajomi naszych rodziców. To byli na etacie cioci i wujka. Ich dzieci były na etacie kuzynów i tak wszyscyśmy prawie byli w tej sytuacji. Wszyscy ci urodzeni tuż przed wojną, w czasie wojny, tuż po wojnie. To był skład rodziny.

**Wiesława Młynarczyk:** W jakim języku mówili twoi rodzice? W jakim języku porozumiewali się w domu, bo szkoła, do której chodziłeś, do pierwszej klasy, to była szkoła, gdzie językiem wykładowym był język jidysz, żydowski.

**Adam Gryniwicz:** Tak, to było moje pierwsze zetknięcie z tym językiem. Dlatego, że w domu mówiono po polsku, ja żydowskiego nie znałem, jak dzieckiem byłem, mówiłem po polsku. Byłem w żydowskim przedszkolu, się mówiło po polsku, tak że język żydowski był dla mnie językiem absolutnie obcym. Ja poszedłem do szkoły. Nie wiem, ile się go nauczyłem, prawdopodobnie niewiele, bo niewiele pamiętam z tego, znaczy, z tej nauki. Po roku wylądowałem w szkole w Warszawie, w szkole polskiej i jedyne, co wyniosłem ze szkoły żydowskiej, to jest nieznamość polskiego, w sensie czytania i pisania. Dlatego, że w pierwszej klasie w szkole żydowskiej nie nauczono polskiego, bo trzeba było nauczyć dzieci jidysz, bo wszystkie przedmioty miały być w jidysz. W związku z tym było to niejako... pierwszorzędne znaczenie miała nauka żydowskiego w pierwszej klasie. Jak wylądowałem w szkole w Warszawie, to polskiego nie znałem. Pół roku nie byłem klasyfikowany, miałem w domu dyktanda i tak dalej, po to, żeby się nauczyć polskiego. Tak że ja żydowskiego nie wyniosłem z domu. Jeżeli troszkę znam, to głównie, że na obozach żydowskich uczono nas piosenek żydowskich. To jest jedyny mój kontakt. Rodzice między sobą mówili po żydowsku bardzo krótko, na ogół, żebym ja nie rozumiał albo moja siostra. Ale ponieważ ja bardzo szybko zacząłem kojarzyć, to oni przestali mówić. Tak że oni znali oczywiście żydowski z domu, obydwójce. Mój ojciec był z domu prawdopodobnie o wiele mniej praktykującego z prostej przyczyny, że był sierotą już w momencie urodzenia, bo jego ojciec zmarł w międzyczasie. Babcia była... najpierw trochę handlowała, potem gdzieś tam pracowała. Tak że nie było tego, co trzeba do rodziny religijnej, czyli mężczyzny w domu. U mojej mamy było inaczej, bo jednak rodzina była ukonstytuowana, że tak powiem, z taty, mamy i tak dalej, ale wszystkie siostry i bracia, znaczy, brat, którego znam i dwie siostry mojej mamy, które znam, żadna nie była w żadnym sensie religijna. W żadnym, nawet w sensie minimalnym. Tak że myślę, że to z domu trochę wyniosły.

**Wiesława Młynarczyk:** A jaki był stosunek twoich rodziców do kultury żydowskiej, nawet tej świeckiej, czy były

jakieś obchodzone święta?

**Adam Gryniewicz:** Tak.

**Wiesława Młynarczyk:** Czy jakieś kultywowane?

**Adam Gryniewicz:** Tak, po pierwsze z domu nie wyniosłem żadnej tradycji w żadnym stopniu. Byłem wychowany w sposób absolutnie laicki pod każdym względem. Nie miałem żadnego pojęcia o świętach żydowskich, żadnych. Moim zdaniem rodzice po prostu... tradycja żydowska w wielkiej... dużej części opiera się na świętach, na obchodach, a one prawie wszystkie są związane w pewnym sensie z religią. Nawet historyczne są w jakimś sensie religijne, bo można sobie powiedzieć, że Tora jest też trochę dziełem historycznym. W związku z tym, ponieważ oni ze względów ideologicznych zerwali z tym środowiskiem, więc zerwali również, że tak powiem, z tradycją. I dlatego jedyna rzecz, którą pamiętam z domu i to już z domu niejako dorosły prawie, to było, że raz do roku była maca w domu. Nie wiedziałem dokładnie, dlaczego i po co, ale wiem, że była. Nawet nie zorientowałem się, to było zawsze o tej samej porze roku. Bo dla mnie nie miało to żadnego związku z niczym na dobrą sprawę. I nawet już będąc człowiekiem dorosłym, powiedzmy, pracowałem i tak dalej, ja mogłem być... moje zainteresowanie kulturą ograniczało się w zasadzie do zainteresowania historią i do zainteresowania kulturą na poziomie piosenki. Jak ja się nauczyłem piosenek żydowskich na obozie, a miałem już lat 17, to byłem strasznie dumny, że mogę przyjechać do domu i zaśpiewać piosenkę po żydowsku. Ale to było w zasadzie dosyć takie... Myślałem, że to rodzicom sprawi przyjemność, ale w zasadzie to nie miało żadnego epokowego znaczenia w zasadzie dla nikogo. Dla mnie to mi pozwoliło poznać troszkę, powiedzmy, kulturę, ale też w sposób szalenie ograniczony. Mój związek z kulturą był raczej intelektualno-historyczno-literacki. To znaczy, czytałem jakieś książki o tematyce żydowskiej, chodziłem do żydowskiego teatru już potem, to trochę rozumiałem, bo się właśnie z tych piosenek trochę nauczyłem, to trochę rozumiałem. Resztę słuchałem, miałem słuchawki, tak jak wszyscy i to było w zasadzie prawie wszystko. I może moja świadomość tylko tego związku pochodzeniowego była większa niż części moich przyjaciół, bo zawodowo moja mama była związana ze środowiskiem żydowskim, pracowała w żydowskiej gazecie od 1949 roku do emerytury, tak że siłą rzeczy ja doskonale wiedziałem, że jestem Żydem, i to kwestia była, czy jestem Żydem, czy nie, to była szalenie dyskusyjna, nawet dla mnie, dlatego, że w momencie, kiedy nastąpiła konieczność definicji, czyli wieku lat prawie 18., jak rozdawano kwestionariusz na wyższe studia i gdzie były rubryki „narodowość” i „obywatelstwo”, to w mojej klasie, gdzie akurat było wyjątkowo dużo osób związanych z żydostwem w ten czy inny sposób, ale powiedzmy, przez rodziców, to zdania były szalenie podzielone na temat, co trzeba napisać. Ja osobiście napisałem: „narodowość polska”, bo narodowość dla mnie jest to związek z kulturą i językiem. Języka żydowskiego nie znałem, kultury też nie. Jedyne język i kulturę, jaką znałem, była polska. Dla mnie definicja była szalenie prosta. Nawet jeżeli miałem korzenie żydowskie, nawet bardzo bliskie korzenie, ale to dla mnie nie jest narodowość. Ja się definiowałem wtedy jako Polak pochodzenia żydowskiego. Co dla mnie może być Polak pochodzenia muzulmańskiego albo francuskiego, a ja byłem żydowskiego.

**Wiesława Młynarczyk:** I zawsze się tak identyfikowałeś, mieszkając w Polsce?

**Adam Gryniewicz:** Może nie zawsze, ale wtedy tak. Na pewno nie wtedy, kiedy okazało się, że jestem raczej

Żydem polskiego pochodzenia, a nie Polakiem żydowskiego. I ja myślę, definicja nie zależy od człowieka, w Polsce akurat, wtedy, nie wiem, czy tylko wtedy, ale wtedy na pewno, nie zależało od tego, co człowiek sam myślał. Zależała raczej od tego, co świat narzucił jako myślenie. Jak wylądowałem w Belgii w roku 1972, mój szef przychodzi do pracy i mówi: „To co, panie Gryniowicz? Pan wczoraj świętował?”, to pytałem: „Przepraszam, a co?”, a on powiedział: „No, a jak to co, była żydowska Wielkanoc”. To ja pytam: „Nikt mnie o tym nie poinformował”, to on powiedział: „To pan nie jest Żydem”. To ja mu powiedziałem: „Proszę pana, gdyby tak wszyscy inni myśleli, to ja bym może nawet z Polski nie wyjechał”. Tak że to jest... Żydem się jest, bo tak się jest zakatalogowanym. To nie jest kwestia, jak się człowiek czuje. Spośród osób, które wyjechały z Polski w 1968 roku, prawdopodobnie... spora ilość, a szczególnie z Warszawy, to tak na dobrą sprawę dwa lata przed wyjazdem się za Żydów nie uważali. Albo nie wiedzieli, albo nie wiedzieli w ogóle, że mają korzenie żydowskie, bo to też dosyć było powszechne, szczególnie wśród ludzi, którzy przeżyli wojnę w Polsce. Dlatego, że tam, wśród tych ludzi często decyzja była taka, ponieważ udało nam się już przez pięć lat przeżyć, to najlepiej kontynuować. I w ten sposób ten problem żydowski już więcej nigdy nie powstanie. I oczywiście obudzenie się Żydem w 1968 roku było dla nich szalenie dotkliwe. I ja to rozumiem. My, którzy byliśmy związani z działalnością środowiska żydowskiego, dla nas było to mniej dotkliwe, bo myśmy o tym wiedzieli w sposób mniej lub bardziej praktyczny, ale wszyscyśmy wiedzieli. Ja powiedziałbym, że w sposób tradycyjny to myśmy Żydami nie byli, bo niczegośmy nie obchodzili, niczegośmy nie wiedzieli, niczego żeśmy nie znali, ale powiedzmy, wiedzieliśmy, że jesteśmy zaszeregowani w tej kategorii. Gorzej było z ludźmi, którzy w tej kategorii ani sami się nie szeregowali i nawet nie mieli pojęcia, że mogliby być zaszeregowani. To jest najgorszy wypadek, bo jest wypadek, że ludzie wiedzieli, że rodzice mają pochodzenie żydowskie, ale powiedzmy, oni mieli polskie nazwiska, polskie zwyczaje i tak dalej, choinkę, Wielkanoc, znaczy, u nas w domu nie było choinki na przykład, ale powiedzmy, że moja mama chodziła na Boże Narodzenie do takiego pomieszanego małżeństwa i to obchodziła. Moja tradycja z moją siostrą była: w Wigilię idziemy do kina. Tak że nie mieliśmy żadnej tradycji. Ale były rodziny, gdzie była choinka, obchodzono Boże Narodzenie, mimo że to... bo nie obchodzono świąt żydowskich, ludzie... Są ludzie, którzy uważają, że dzieci powinny mieć tradycję. Moi rodzice w ogóle nie widzieli żadnego... Może byli wystarczająco prymitywni, że to dla nich nie grało żadnej roli. Ale są ludzie, którzy są bardziej jacyś może świątli i uważają, że dzieciom to dobrze robi mieć tradycję. Byli w Polsce, to ogólna tradycja była katolicka. Może nie święcili jajek, ale Boże Narodzenie obchodzili. Tak że znam takich, do tej pory niektórzy obchodzą. Wyjechali z Polski, a obchodzą Boże Narodzenie. Tak że to jest kwestia... Ale na pewno nie obchodzili żadnych żydowskich świąt.

**Wiesława Młynarczyk:** Jaki był stosunek twoich rodziców do komunizmu?

**Adam Gryniowicz:** Moi rodzice byli, że tak powiem, od wczesnych lat młodzieńczych, moja mama wylądowała za komunizmu w więzieniu w wieku 18 lat, a ojciec prawdopodobnie w tym samym czasie, bo wyszedł z domu, mając lat 14, i znalazł się w Łodzi, i bardzo szybko znalazł się w tym gronie. Oni byli doskonałymi przedstawicielami ludzi, którym ta żydowska zaszłość ciążyła w równym stopniu, jak położenie socjalne i społeczne, bo byli z dosyć biednych rodzin, wielodzietnych biednych rodzin, w związku z tym dla nich ta ideologia socjalistyczna, najpierw komunistyczna, która dawała sobie za cel likwidację biedy, a szczególnie likwidację podziałów narodowych, przynajmniej wtedy, przynajmniej w teorii, to dla tych ludzi to były dwa rozwiązania ich dwóch problemów. Bo oni chcieli żyć w Polsce, bo jakoś nie widzieli siebie nigdzie indziej i w związku z tym życie w Polsce z żydowskim garbem nie było takie proste,

w związku z tym to była jedyna ideologia, która zakładała zlikwidowanie tej... albo w każdym razie przez internacjonalizm, zlikwidowanie tej różnicy. I stąd to dosyć duże wejście w komunizm pewnej ilości młodych Żydów, które w żydowskim świecie było w sumie niewielkie, bo jak procentowo rzecz biorąc, było o wiele, wiele więcej syjonistów lub innych, socjalistów różnej maści i tak dalej, niż komunistów. Tym niemniej, było to dosyć istotne, powiedzmy, w samym polskim komunizmie, udział Żydów w tej imprezie i w tej ideologii, oni poświęcili dużo dla tej ideologii, bo zerwali z domem rodzinnym, zerwali z kulturą, zerwali z tradycją, zerwali z wieloma rzeczami. I w związku z tym oczywiście przekazali to wszystko dzieciom, znaczy, głównie ten brak czegokolwiek, bo nie wytworzyli żadnego swojego nowego rytuału, bo oczywiście chodziłem na manifestacje pierwszomajowe, ale poza dniem wolnym od szkoły to nie było żadne inne ten, bo najbardziej lubiłem na tych manifestacjach butki z kiełbasą. Ale poza tym to żadnych obchodów rewolucyjno-ideologicznych w domu nie było, więc to też religia katolicka i jej tradycje nie mogły stać się tradycjami, żydowskie z różnych powodów też nie, innych nie wytworzyli. W związku z tym ja zostałem wychowany bez jakiegokolwiek tradycji, w jakkolwiek stronę. Tak że mnie osobiście to nie brakowało, mojej siostrze młodszej też najwyraźniej nie. Powiedziałbym nawet, że brak tych tradycji w domu nie przeszkadzał ani mojej córce, ani moim siostrzenicom. One mieszkając w Izraelu, są może bardziej trochę związane z żydowskimi tradycjami, bo to jednak w szkole się o tym mówi i tak dalej. Moja córka wychowana w Belgii, to w ogóle to była dla niej sprawa nieistniejąca, ponieważ moja żona była dokładnie z tego samego środowiska, co ja. W związku z tym z tą małą różnicą, ale ta różnica nie była w żadnym sensie... nie tworzyła niczego innego, że jej ojciec był z rodziny katolickiej. Ale był niepraktykujący, był też komunistą. W związku z tym miał...

**Wiesława Młynarczyk:** Twoja żona była Polką.

**Adam Gryniwicz:** Moja żona była Polką, jej matką była Żydówką. Ona wyjechała z Polski jako Żydówka, więc Polką była, powiedzmy, no, tak, ona się definiowała jako Polka pochodzenia żydowskiego albo częściowo pochodzenia żydowskiego. Ja się definiuję jako Polak pochodzenia żydowskiego. Potem oczywiście trochę zmieniał, biorąc pod uwagę, że ponieważ byłem postrzegany raczej jako Żyd z Polski, to tak trochę się zmieniał. Wyjechałem z Polski, w Belgii podawałem się za Żyda z Polski, bo to mi już żadnego problemu nie stawało w Belgii.

**Wiesława Młynarczyk:** A powiedz teraz o swoim wykształceniu, o szkole w Warszawie. Wyjechaliście w 1949 roku z Łodzi .

**Adam Gryniwicz:** W 1949 roku skończyłem pierwszą... W 1949 roku skończyłem pierwszą klasę szkoły żydowskiej w Łodzi. Na jesieni 1949 roku przyjechaliśmy do Warszawy. Zacząłem chodzić w Warszawie do szkoły na Narbutta, bo to była najbliższa szkoła bez religii. Mieszkaliśmy wtedy chwilowo na Placu Unii. Po paru miesiącach przeprowadziliśmy się na dalszy Mokotów przy Malczewskiego, co już było sprawą trudniejszą, bo w wieku lat 9 jeździłem tramwajem do szkoły przez pół Warszawy. Ówczesnej pół Warszawy. To oczywiście powodowało straszny stres u moich rodziców. I dlatego jak szkołę podzielono w roku szkolnym 1950-51, znalazłem się w szkole na Wiktorskiej, która powstała, wtedy została wybudowana, i tam do tej szkoły chodziłem, że tak powiem, do matury. Od trzeciej klasy do matury z jednym rokiem przerwy. Akurat w tej okolicy i w tej szkole było dużo ludzi podobnego kroju jak ja. Nasza klasa zawsze liczyła sporą ilość Żydów polskiego pochodzenia lub Polaków żydowskiego pochodzenia.

To wszystko zależy od definicji. Jedni się bardziej uważali za Żydów, a mniej za Polaków, drudzy bardziej za Polaków, mniej za Żydów, ale to było dosyć... Wszyscy oni byli z podobnych rodzin. Z rodzin komunistów, bo w końcu trzeba sobie powiedzieć... Po emigracji w latach 40., po pogromie kieleckim, ci, co zostali, to oni uważali, że ich miejsce jest w Polsce. No, to kto... Ponieważ nie zostali prawie że ludzie religijni. Wszystkie organizacje żydowskie zostały zlikwidowane, polityczne. W związku z tym, kto został wtedy w Polsce? Zostało trochę ludzi, którzy bali się jeździć, byli drobnymi rzemieślnikami i tak dalej, zostało dużo ludzi, którzy w ten czy inny sposób, w tej czy innej formie widzieli siebie w Polsce. Ze względów ideologicznych, ze względów, ja wiem, różnych innych, widzieli swoją rolę w Polsce. Oczywiście większość tych ludzi w roku 1956 wyznaczono, że oni w Polsce nie mają żadnej roli i w związku z tym ci, co zostali po emigracji lat 40., to duża większość wyjechała w latach 50., ci, co zostali, to są następni, którzy wierzyli, że te momenty dramatyczne są tylko i wyłącznie kwestią koniunkturalną. W związku z tym po tłumaczeniu pogromu kieleckiego, stanem takiego niezorganizowania władzy powojennym, po wytłumaczeniu tej kampanii antysemitycznej w latach 50., kultem jednostki, to już... Mój ojciec do takich należał. Moja mama była gotowa z Polski już dwa razy wyjechać w międzyczasie, po pogromie kieleckim i w 1956 roku. I mój ojciec wstrzymał w Polsce dwie rodziny. Naszą i takich przyjaciół z Łodzi, którzy grali rolę mojej ciotki i mojego wujka. To dwie rodziny, to mój ojciec wstrzymał w Polsce dwa razy. Dlatego szczęściem dla mojego ojca było to, że nie zdążył zmienić zdania, bo umarł w 1958 roku, w wieku lat 44. Tak że... Ale powiedzmy, że do śmierci, nawet jeszcze w momencie zamknięcia „Po prostu” na jesieni 1957 roku, będąc... będąc świadkiem wydarzeń na Placu Konstytucji, gdzie znalazłem się przez zupełny przypadek, bo grałem wtedy w Legii w siatkówkę i wracałem z treningu z Łazienkowskiej oczywiście na Plac Konstytucji, gdzie brałem tramwaj, znalazłem się w samym tym kotle wydarzeń i jak wszedłem do domu cały podniecony, to mój ojciec stwierdził, że to dobrze, bo to... Dobrze, że tak biją, bo to są wichrzyciele, chuliganeria, jeszcze nie wiem co dokładnie. Tak że można powiedzieć, że on należał do tych, którzy jeszcze wierzyli.

**Wiesława Młynarczyk:** Co robił twój ojciec? Czym się zajmował w Warszawie?

**Adam Gryniwicz:** Mój ojciec był dosyć takim... Zaczął pracę... W ogóle, ponieważ z wykształcenia, z zawodu był rzeźnikiem, to był zawód rodzinny i do zawodu się uczył od wieku lat 14., to zaczął od tego, że był kierownikiem spółdzielni mięsnej w Łodzi, a potem był kurierem dyplomatycznym, czyli takim listonoszem dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych. No i takim listonoszem był od roku 1949 do 1954. Tak żeśmy przenieśli się do Warszawy.

**Wiesława Młynarczyk:** Co to oznaczało być tym listonoszem?

**Adam Gryniwicz:** Kurierem?

**Wiesława Młynarczyk:** Tak, kurierem.

**Adam Gryniwicz:** To taki, co jeździł z tymi, pocztą z ministerstwa do ambasady. No, taki listonosz. Listonosz. A dlaczego listonosz? Dlaczego angażowano do tego ludzi... Kogo angażowano do tego, do tej pracy? Ja wiem, kto robił, naprawdę wszyscy znali moich rodziców. Z jednej strony to byli Żydzi, a z drugiej strony to byli emigranci polscy sprzed wojny zagranicą. We Francji, w Belgii, którzy wrócili w latach 40. do Polski. Często pracowali w polskich

placówkach dyplomatycznych, w konsulatach, po wojnie, bo byli komunistami sprzed wojny, bo byli działaczami związków zawodowych komunistycznych przed wojną. To byli ludzie typu Gierka. Mieli ten sam życiorys. I oni wrócili do Polski w późnych latach 40. i z nich się rekrutowali między innymi kurierzy dyplomatyczni, bo oni znali języki. Zнали francuski, byli we Francji, znali... Znaczący, znali jakieś języki i oni jeździli, dostawali worki z pocztą, brali samolot i jechali tu, tam, zostawiali tę pocztę, brali tę drugą pocztę i przywozili ją tutaj, to było wszystko. I to była taka praca. Tak że ojca niewiele widziałem, bo ciągle jeździł i już, to była praca... A potem, że tak powiem, za jakieś tam zasługi po jakichś tam latach, to go wysłano na placówkę do Chin na dwa lata, gdzie był, powiedzmy, intendentem ambasady. To znaczący, załatwiał przyjęcia, wyposażenie i tak dalej. Bo nie miał specjalnych, powiedzmy... Mój ojciec bardzo ambitnie nadrabiał braki szkolne, bo szkoły nigdy nie udało mu się skończyć, ale po wojnie skończył maturę i nawet przed śmiercią był na studiach, tak że... Moja mama skończyła przed wojną 9 lat szkoły, bo była najmłodszym dzieckiem i to była jedyna, która skończyła jakiegokolwiek szkoły przed wojną poza tym minimum obowiązkowym dla dzieci żydowskich. Była jedna, która skończyła 9-letnie liceum przed wojną. Bo była ostatnim, siódmym dzieckiem, to już ostatnia, wszystkie siostry w domu już pracowały, to ona mogła pójść do szkoły. Tak że... I ponieważ byli wprowadzili długo w tym ideologicznym wpływie, ale nigdy nie byli żadnymi działaczami w ramach partii. Byli członkami partii po prostu w tych komórkach, do których należeli, tak że powiedziałbym, że żadnych zysków z tego tytułu nie wynieśli, strat też wielkich nie ponieśli z tego tytułu poza więzieniem, ale to było dawno. Tak że... I powiedzmy, że widzieli, co się dzieje w Rosji w czasie wojny, ale mieli nadzieję, że w Polsce to będzie inaczej. Tak jak wielu miało nadzieję, że będzie inaczej, bo Polska jest innym krajem niż Rosja. Z polskiej perspektywy Rosja była taka zawsze trochę taka... trochę dzika. A Polska miała być krajem bardziej... w którym to się da zrobić. No... się okazało, że się tak całkowicie nie da albo nie da się w ogóle, ale to zabrało trochę czasu. Dlatego, że ci, którzy pozostali w Polsce po tych wszystkich emigracjach, czyli do 1968 roku, to byli, powiedziałbym, że ci najbardziej wytrwali. Tych, których już naprawdę trzeba było uderzyć w głowę, żeby zrozumieli, że żyją. Osobiście albo po prostu zrobić, że ludzie doszli do takiego stopnia rozwoju, jak ja na przykład, że zrozumiałem, że to jest sprawa cykliczna. A ponieważ sprawa cykliczna, w związku z tym byłem w takim wieku, żeby nawet ten cykl przerwać, jeśli chodzi o mnie, i rozpocząć inny cykl w innym miejscu. Bo w momencie, kiedy podjąłem decyzję wyjazdu, miałem lat niecałe 29, jeszcze mogłem budować życie gdziekolwiek, gdybym poczekał następne 10 lat, miał lat 39, to byłoby już o wiele trudniejsze.

**Wiesława Młynarczyk:** Chcesz powiedzieć, że wydarzenia marcowe i twój wyjazd z Polski to nie był przymus?

**Adam Gryniwicz:** Nie, nie, nie, absolutnie. To było... Nie, wydarzenia marcowe były powodem, dla których zrozumiałem, że tego typu wydarzenia i tego typu, że tak powiem, reakcja, jest kwestią, że tak powiem, permanentną. I ona będzie się powtarzała co jakiś czas. Ale ponieważ ten okres to był tak mniej więcej 10 lat, w związku z tym mogłem przewidzieć, że za 10 lat, czyli w okolicy roku 1979, też może tego... A wtedy już bym miał lat prawie 40. Wtedy budowanie przyszłości byłoby takie nie bardzo łatwe. W związku z tym ja podjąłem decyzję wyjazdu, wiedząc, że nie uniknę z tych czy innych powodów, a głównie z tych, nie uniknę, powiedzmy, stać się ich ofiarą. Ja nie byłem ofiarą w 1968 roku. Bo nie miałem być czegoś ofiarą, ja nie byłem nikim. Ja byłem świeżo dyplomowanym inżynierem od trzech lat, miałem nakaz pracy, pracowałem tam, gdzie miałem nakaz pracy. Tak że ja nie... Mnie nie można było za nic, że tak powiem... za nic skazać albo za nic pociągnąć do żadnej odpowiedzialności. Jedyną odpowiedzialność, do której można było mnie pociągnąć, to zamknąć klub Babel, w którym byłem zarządcą.



**Wiesława Młynarczyk:** No właśnie, i tu chciałabym, żebyś cofnął się po pierwsze do swoich studiów, żebyś powiedział, co studiowałeś i gdzie, a potem, żebyś opowiedział o swoich związkach z Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Żydów Polskich, czyli TSKŻ-em i z klubem Babel.

**Adam Gryniewicz:** Tak jest. Więc studiowałem na Wydziale Maszyn Roboczych i Pojazdów Politechniki Warszawskiej dawnej szkoły Wawelberga. Jeszcze jeden ślad żydowski w Polsce. To była szkoła Wawelberga. Jeszcze wtedy myśmy to nazywali szkołą Wawelberga na Narbutta. I tam zacząłem studia, wtedy to się nazywało Wydział Samochodów i Ciągników. Po roku czy dwóch zmienili nazwę. I tam to zacząłem te studia, tam je skończyłem. Wziąłem jeden rok urlop dziekański, a skończyłem je mniej więcej w czasie. I przez cały okres studiów, a nawet jeszcze będąc w szkole, byłem bardzo aktywnym działaczem, uczestnikiem tego, co się działo w TSKŻ-cie, zacząłem od 1957 roku. Prawdopodobnie jestem tym, który ten cały okres przeszedł i zostałem w tym samym miejscu, bo byli inni, którzy przychodzili w 1957-58 roku, 1959, potem przestali przychodzić i przestali uczestniczyć. Byli tacy, co pojawili się później, jak ten cały wyż powojenny i tak dalej, a ja tak przeszedłem wszystkie te... Zacząłem przychodzić do klubu, po prostu...

**Wiesława Młynarczyk:** Powiedz, gdzie to było, miejsce, adres.

**Adam Gryniewicz:** Na Nowogrodzkiej 5. Miejsce było dosyć symboliczne, bo jeden z naszych przyjaciół, który był trochę naszym poetą środowiskowym, nawet napisał taką parafrazę: „Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie, czyś potentatem czy zerem, każ mechanicznie swe powstrzymać konie, tamże pod piątym numerem”. Tak że to był taki adres. Tam były wszystkie instytucje żydowskie poza teatrem, czyli był tam TSKŻ, była redakcja gazety, były wydawnictwa książkowe, była stołówka. Wszystko było w jednym budynku. I w tym budynku na pierwszym piętrze był klub. Na początku przychodziło dużo ludzi starszych, szczególnie w ciągu dnia. Natomiast wieczorem przychodziła młodzież... I ja zacząłem przychodzić tam dosłownie praktycznie od momentu, od którego moi rodzice znowu pojawili się w Warszawie, bo między rokiem 1954 i 1956 moi rodzice byli na placówce w Chinach. Ja byłem w internacie takim, przechowalnia dzieci dla służby dyplomatycznej, bo taką stworzono w 1954 roku, na skutek licznych defekcji polskich dyplomatów zatrzymano dzieci w kraju. Wprawdzie to mówiono, żeby szkoły nie traciły, ale że tak powiem, praktyka była taka, żeby dzieci zostały tu. I tak ja, będąc w klasie siódmej, zostałem, moja siostra, będąc w wieku przedszkolnym, czyli w wieku sześciu lat, pojechała z rodzicami. I dlatego, że zaczęła szkołę w wieku lat sześciu, bo zaczęła rosyjską szkołę w Chinach. A ja byłem w tym internacie dwa lata. Rodzice wrócili na jesieni 1956 roku. Mieszkali w hotelu, bo nie mieli mieszkania, bo oddali mieszkanie, jak wyjechali. To było mieszkanie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. I moja siostra znalazła się też w tym internacie wtedy, i w 1957 roku w styczniu dostaliśmy mieszkanie, i praktycznie moja mama po powrocie z Chin znowu wróciła do redakcji, bo dostała zwolnienie na dwa lata. Przeniesienie do Ministerstwa Spraw... Pracowała jako księgową w ambasadzie Polski w Pekinie. I jak mama wróciła do pracy, to ja automatycznie znalazłem się w tym klubie, bo mama tam pracowała na miejscu i tak dalej, tak że ja praktycznie powiedzmy od wiosny 1957 roku, do wiosny 1968 roku, jak zamknięto klub Babel, byłem tam permanentnie. Byłem zastępcą wielu kierowników po kolei. Potem byłem w zarządzie klubu Babel i tak wraz z klubem Babel to zostało zamknięte. Uczestniczyłem nie tylko w życiu klubowym, ale również w roku 1958-59 byłem jako uczestnik na obozach żydowskich, a potem od 1962 roku byłem wychowawcą, kierownikiem obozów, kolonii przez

wiele, wiele lat. Nawet pracując, brałem wakacje i jechałem na obóz jako kierownik jednego turnusu, ponieważ chyba w 1966 roku wymyślono, że młodzież studencka i młodzież pracująca... trzeba coś dla nich zrobić. W związku z tym zrobiono jeden turnus, to się nazywało: „Obóz studentów i młodzieży pracującej”. I tam przyjeżdżali ludzie w wieku pomaturalnym. Studenci, młodzież pracująca, która nie studiowała, takiej nie było wiele, ale była. To byli często nauczyciele ze szkół żydowskich albo ci, którzy pracowali i oni przyjeżdżali, i tam byłem dwa razy kierownikiem tego przedsięwzięcia, które okazało się być ostatnim w 1967 roku. W ten sposób włożyłem klucz pod słomiankę. Bo po tym już więcej nie było. Potem już był marzec i potem już więcej nic nie było.

**Wiesława Młynarczyk:** Jak oceniasz to życie żydowskie w klubie Babel, ale też na koloniach żydowskich z dzisiejszej perspektywy? Co ci to dało? Jakie to ma dzisiaj dla ciebie znaczenie?

**Adam Gryniewicz:** Więc z góry sobie trzeba powiedzieć, to nie miało nic żydowskiego w sobie. Nic. Tak mało żydowskiego, jak mogło mieć wśród kilkuset Żydów. To znaczy, praktycznie, jeżeli były jakieś imprezy żydowskie to były głównie śpiewane. Znaczą, jakieś było... powiedzmy, że jak był zespół muzyczny, to grał jakieś melodie żydowskie. Ale instruktorem był w ogóle Polak, katolik, którego ja sprowadziłem, mój kolega szkolny, który potem w tym 1968 roku był na dzielnicy na Mokotowie, a po przewrocie w roku 1989 był zastępcą redaktora Trybuny. Więc dobrze mu to wszystko weszło w krew. Tak że klub był klubem studenckim i młodzieżowym, to się tak zresztą nazywało, Klub Młodzieżowy Babel. Babel nie miał nic wspólnego z pisarzem Bablem. Miało raczej coś wspólnego z wieżą Babel. Ale z wieżą Babel w sensie różnic ludzi. Tak jak różni ludzie o różnych językach budowali wieżę Babel, tak klub był otwarty, stąd Babel. I był otwarty, bo każdy, kto miał legitymację studencką lub uczniowską, mógł wejść do klubu. To było jedyne kryterium, jakie myśmy... A ja zajmowałem się wpuszczaniem, więc wiem, o co chodzi. Dlatego zawsze milicja przyjeżdżała, szczególnie jak były zabawy, żeby mnie odwieźć do przystanku. Ponieważ to ja decydowałem, kto wchodzi, kto nie wchodzi, a ponieważ w klubie mieliśmy bardzo dobre... Ja miałem jedne z najlepszych płyt, płytoteki w Warszawie, bo ludzie mieli rodziny za granicą i tak dalej, skąd myśmy mieli dobre płyty, to nasze wieczorki taneczne były bardzo popularne i w związku z tym dużo ludzi z okolicy, z różnego chciało wejść. Oczywiście sporo z nich, bo to były ładne dziewczyny też. A ja nie wpuszczałem, bo trzeba było mieć legitymację studencką, dlatego że zawsze ja i tam paru tych bramkarzy, tośmy zawsze byli ofiarami, tam czekali na nas przy wyjściu, żeby się policzyć. To myśmy wzywali milicję i milicja nas odwoziła do przystanku.

**Wiesława Młynarczyk:** Czy Polacy tam też mogli wchodzić?

**Adam Gryniewicz:** Proszę?

**Wiesława Młynarczyk:** Polacy, czy mogli...

**Adam Gryniewicz:** Tak, tak, tak, oczywiście, legitymacja studencka była wystarczającym dokumentem na wejście, lub uczniowska. Tak że nie było kryterium pochodzeniowe. Organizowaliśmy imprezy, wszystkie były po polsku. Imprezy były dosyć ciekawe, bo oprócz tych wieczorków tanecznych mieliśmy bardzo ciekawe prelekcje, naprawdę ze śmietanką polskiej kultury, literatury, sztuki, nauki i tak dalej. Chociażby spis nazwisk ludzi, którzy byli niemal

znanego polskiego aktora z owych czasów, Świderski, Mikołajska i Łomnicki, i tak dalej, wszyscy u nas byli w klubie z prelekcjami. Była połowa redakcji „Polityki”, łącznie z redaktorem naczelnym. Byli naukowcy, był Schaff, byli naukowcy z uniwersytetu innego tego, byli pisarze. Tak że myśmy mieli bardzo ciekawe prelekcje co tydzień. Mieliśmy co tydzień prelekcje połączone z dyskusją. Tak że klub był naprawdę.... na terenie Warszawy prawdopodobnie był klubem najbardziej prężnie, dynamicznie działającym i otwartym dla wszystkich.

**Wiesława Młynarczyk:** A czy była to forma integracji środowiska żydowskiego też?

**Adam Gryniiewicz:** Nie, dlatego że klub nic żydowskiego nie prezentował. Znaczący, w sensie była, bo jednak większość to byli... to była integracja w tym sensie, że tam nikt nie miał żadnych obiekcji zadeklarowania się Żydem. Tam nie trzeba było ukrywać. Tak, to było na obozach też. Ludzie jeździli na obozy, bo tam nie trzeba było... ani nikomu nie wpadło do głowy, ani nie trzeba było ukrywać pochodzenia. Bo wszyscy byli tego samego kroju.

**Wiesława Młynarczyk:** Czy specyfika kolonii żydowskich była inna niż specyfika polskich kolonii?

**Adam Gryniiewicz:** Jedyna... Były dwa momenty specyficzne, których na polskich koloniach nie było. Po pierwsze, na ogół wszyscy mówili do siebie na „ty”, łącznie z wychowawcami, kierownikami i tak dalej, tak że to była forma, która na polskich koloniach była nie tak bardzo używana, bo ja wiem, że jak byłem komendantem obozu harcerskiego w roku 1963. To już miałem jednak 22 lata, a były tam dzieci i młodzież w wieku od lat 12 do 16, to wszyscy do mnie mówili na „ty”. Jak przyszli działacze, jakiś komendant z innego obozu harcerskiego z okolicy, który chciał z nami zrobić wspólne te... Jak myśmy rozmawiali, podeszła taka jedna, może 12-letnia i uderzyła mnie w plecy, powiedziała: „To cześć Adam, co słychać?”, coś tam powiedziała: „Adam, to co my mamy robić?”. Jak on usłyszał, jak ona się do mnie odzywa, to żadnej współpracy już nie było więcej po tym. To było dosyć specyficzne. Dlaczego? Dlatego, że dużo z tych dzieci i młodzieży było z klubów żydowskich, ze szkół żydowskich i oni znali swoich wychowawców z tych miast. Ja zawsze unikałem na przykład grupy dziewcząt z Warszawy, bo ja wszystkie z klubu znałem. Dostała mi się ta grupa jeden raz. I to dostała mi się przez córkę Baumana. Bo ona była pierwszy raz na żydowskim obozie i kierownik uważał, że trzeba wychowawcę, który ma doświadczenie i tak dalej, to mnie się dostała ta grupa dziewcząt, której zawsze unikałem.

**Wiesława Młynarczyk:** Oczywiście masz na myśli dzisiaj profesora Baumana, tak?

**Adam Gryniiewicz:** Tak, tak, to już najstarsza córka Zygmunta Baumana, która wtedy przyjechała pierwszy raz na żydowski obóz. To był rok 1965. No i tak dostała mi się ta grupa dziewcząt, ale to oczywiście było, że oni nie mogą nam mówić na „pan” i „pani”, my się wszyscy znam. Ja wprawdzie miałem od nich te siedem lat więcej, sześć lat więcej, ale znaleźliśmy się na co dzień w klubie.

**Wiesława Młynarczyk:** Czy spotkałeś się wtedy...

**Adam Gryniiewicz:** Inna specyfika była, że jednak uczono nas piosenek żydowskich... na obozie, bo to była

jedyna okazja w klubie nie, ale na obozach tak. Uczono nas piosenek żydowskich i ja powiedziałem, że ludzie jak przyjeżdżali, to jakoś bardziej się... sami się poczuli do jakiejś takiej żydowskiej integracji. Na przykład problem Izraela był bardziej dyskusyjny. Dlaczego? Dlatego, że na naszych obozach, czyli na tych, na których ja byłem, czyli ogólnopolskich, była na ogół duża grupa młodzieży z Dolnego Śląska, ze Szczecina, czyli z mniejszych ośrodków, gdzie tam oni się bardziej poczuli do żydostwa jako takiego, do związku z Izraelem z kilku powodów. Jednym z nich było, że tam były permanentne wyjazdy. Oni żyli w permanentnych wyjazdach. Przez te wszystkie lata 60. ludzie wyjeżdżali, wyjeżdżali, wyjeżdżali. Nie z Warszawy. Bardzo mało z Warszawy, dlatego myśmy w Warszawie tego tak nie odczuwali. Dlatego oni bardziej byli związani z tym niż my. Był fakt może tej szkoły żydowskiej również. W Warszawie nie było szkoły żydowskiej, nie było tego momentu integracyjnego szkolnego. To jest też ta... Ale w klubie, powiedzmy, element żydowski prawie że nie występował. Był kurs języka żydowskiego.

**Wiesława Młynarczyk:** A czy dyskutowaliście o Izraelu wtedy? Był temat Izraela?

**Adam Gryniewicz:** Nie, nie, nie. Znaczący, dyskutowaliśmy o Izraelu bardzo aktywnie, ale to było przed wojną sześciodniową. Przed wojną sześciodniową, cały maj 1967 roku. Oczywiście sytuacja była taka na granicach Izraela i dookoła, i prasa ją dosyć dobrze podsyciła tutejsza i inna, że oczywiście Izrael był tematem rozmów, bo byli ludzie, mieli tam rodziny, prawie wszyscy mieli tam jakichś znajomych, znajomych rodziców i tak dalej, więc oczywiście kraj ten był nam bliski poprzez sentymenty prywatne. Bardzo mało żeśmy wiedzieli o polityce izraelskiej, bo jakoś tym się nikt specjalnie nie interesował. Kontakty z ambasadą były prawie że nie istniejące. Jeżeli, to bardziej indywidualne i klub nie miał z tym nic wspólnego. Klub nie był w żadnym kontakcie z ambasadą izraelską, więc to nie była żadna... U nas nigdy nie był żaden przedstawiciel ambasady z prelekcją. Byli różni inni, ale byli... Raczej byli ludzie związani z Polską, z kulturą polską, ze sztuką w Polsce, z nauką, z czymkolwiek, ale Polską, dlatego dla nas Izrael... Poza tym w polityce TSKŻ-u nie było. Nie była wliczona... Nie był wliczony kontakt z Izraelem. W związku z tym myśmy chcąc nie chcąc realizowali politykę organizacyjną, która nam dawała lokal. Po prostu.

**Wiesława Młynarczyk:** Kiedy byliście na koloniach żydowskich, mieliście świadomość, że finansowane są te kolonie przez Joint.

**Adam Gryniewicz:** Że co?

**Wiesława Młynarczyk:** Że kolonie są finansowane przez Joint.

**Adam Gryniewicz:** Tak, oczywiście, to myśmy wszyscy wiedzieli. Oczywiście ci młodzi mniej, ci starsi więcej. Oczywiście było, to nikt nie robił z tego tajemnicy, że TSKŻ by nigdy nie dał pieniędzy na to. Jeżeli Joint to robił, to Joint to robił po prostu ze swoich bardzo wyraźnych powodów, które były dokładnie wyjaśnione w roku 1962, jak przyjechał do Polski europejski przewodniczący Jointu na Europę, Charles Jordan, i który powiedział bardzo dokładnie, jak działa, czyli z TSKŻ-u byli bardzo zaniepokojeni tym programem realizowanym na tych obozach. Ja wiem, założeniami, tak, żeby ludzie zostali w Polsce albo coś takiego, to oni się strasznie bali, że jak Joint zareaguje na to. W końcu pieniądze dają, to może coś chcą. To Charles Jordan powiedział bardzo wyraźnie, tego nie było. My...

Nam to jest a dokładnie, absolutnie wszystko jedno, co wy robicie na tych koloniach. Absolutnie. To w ogóle nie jest nasz interes. On się w ogóle nie interesował tym, co tam się robi. Mówi: „Jeżeli my dajemy pieniądze, to dla nas ważna jest tylko jedna rzecz. Że młodzież żydowska zostaje razem”. To był jedyny ich cel. I dlatego, że... Jak byłem w kontakcie z Jointem teraz, w tym roku, czy w zeszłym roku, to im powiedziałem, że jeżeli taki był cel w latach 50. i 60., to to jest tak zwany success story, bo my do tej pory jesteśmy razem. Jeżeli oni wtedy inwestowali w coś, co dla nich było ważne, to ta inwestycja na pewno się dobrze zrealizowała, bo dzisiaj, 50 lat później, my jesteśmy dalej razem. Organizujemy spotkania razem i jesteśmy w Internecie razem i tak dalej. Tak że to jest... Oczywiście Joint to... To jak wszyscy wiedzieli, że TSKŻ z paru składek... Bo myśmy nie byli członkami TSKŻ-u. Klub Babel nie... Klub Babel miał siedzibę w siedzibie należącej do TSKŻ-u, ale myśmy nie byli członkami, myśmy składek nie płacili. To nie miało żadnego... Myśmy nie mieli żadnego... Poza tym, że TSKŻ to oczywiście mógł nam powiedzieć, że przeprowadzenie tego czy innego, na pewno mógłby nam zabronić, gdyby nam wpadło do głowy sprowadzić ambasadora Izraela. To na pewno by się nie mieściło w ich ideologii. Ja rozumiem, że oni mogliby wtedy nie chcieć z różnych powodów. Nie dlatego, że oni osobiście może, ale wiedzieliby, jaka byłaby ocena władz, a nie trzeba zapominać, że oni żyli w pewnej... w pewnym życiu realnym w tym kraju, działała przecież TSKŻ, gdzie wszyscy byli komunistami w pierwszym rządzie. Żydami może zaraz potem. I jeżeli oni realizowali jakoś tam założenie, to założenie było... realizowanie założenia życia Żydów w Polsce. W związku z tym oni to realizowali do upojenia i myśmy... i te kolonie, te obozy, i tak dalej, jedyne co one nam dały, to to, że nasza migracja była dużo łatwiejsza. Nie dlatego, że byliśmy do niej przygotowani, ale dlatego, że myśmy nie emigrowali sami. Bo jeżeli ktoś nie był w tym środowisku, jak on wyjeżdżał z Polski w 1968 roku, to znalazł się sam, bo on nikogo nie znał. Ci, którzy się znali z obozów, to nigdy nie byli sami. Na tym polegało, powiedzmy ten... tak jak powiedział jeden z moich przyjaciół: „Nasze spotkania teraz, które robimy od 25 lat, jest to zwycięstwo TSKŻ-u z za grobu”.

**Wiesława Młynarczyk:** Dobrze, a czy pamiętasz zamknięcie klubu Babel? Wróćmy do klubu Babel.

**Adam Gryniwicz:** Znaczący, zamknięcia klubu, fizycznie nie pamiętam. Ja pamiętam, że był zamknięty, że przez pierwsze dni marca... to taka sytuacja trochę nie bardzo wiadomo co i jak. TSKŻ nie bardzo wiedział, co z tym fan-tem zrobić. Babel znalazł się bardzo szybko na łamach prasy, więc działacze TSKŻ-u, ludzie przestali przychodzić, bo byli zajęci innymi sprawami trochę. Nam nie było wiadomo, rodzice się trochę bali również. W związku z tym myśmy oczywiście przychodzili, dyskutowali i tak dalej. Ja nawet napisałem list protestacyjny do Sztandaru Młodych za oceny klubu Babel na łamach Sztandaru Młodych, bez oczywiście żadnej wiary, że zostanie wydrukowany, ale napisałem. Tak że on został po prostu administracyjnie zamknięty. Zresztą przez cały miesiąc marzec był, powiedzmy, nieistniejący oficjalnie, bo... bo już praktycznie nie było żadnych imprez i TSKŻ, że tak powiem, trochę chciał wyciszyć istnienie tego klubu, więc nie było żadnych imprez, ludzie przychodzili z przyzwyczajenia, bo znali adres, ale trochę dyskutowali i po prostu to pewnego dnia powiedziano, że jest zamknięty i koniec.

**Wiesława Młynarczyk:** Administracyjnie, nie politycznie.

**Adam Gryniwicz:** Administracyjnie.

**Wiesława Młynarczyk:** Nie politycznie?

**Adam Gryniewicz:** Zamknięto go z powodów administracyjnych, bo to było siedlisko syjonizmu. W związku z tym ja myślę, że dla TSKŻ-u w pierwszym odruchu to prawdopodobnie im to było trochę na rękę, bo pozwalało się wycofać z tej prasy i tak dalej, ale oczywiście to daleko nie mogło pójść, bo było wiadomo... Znaczący, było wiadomo, nie dla wszystkich było wiadomo. Dla mnie było wiadomo, że się skończy, jak się skończyło, że wszyscy prawie wyjechali, to było takie jasne, jak jasne tylko mogło być. Tak samo jak było jasne, że jak będzie wiec, na uniwersytecie, to oni będą pałowali.

**Adam Gryniewicz:** Naprawdę tak wtedy myślałeś?

**Wiesława Młynarczyk:** Ja mojej siostrze, 7 marca wieczorem, powiedziałem, mówię do niej: „Hanka, idziesz na wiec”, bo przecież o wiecu wszyscy wiedzieli. Od tygodnia, od dwóch tygodni. Ja, który pracowałem w Ursusie, wiedziałem, że będzie wiec w Warszawie. To wszyscy wiedzieli. To ja powiedziałem do mojej siostry: „Hanka, załóż buty na płaskim obcasie, jak idziesz na wiec”. A ona mówi: „Dlaczego mam założyć buty na płaskim?”, ja mówię: „Bo na płaskim wygodnie się ucieka”. „A dlaczego mam uciekać?”, mówię: „Bo jak pałują, to najlepsza obrona to jest uciekać”. „No, jak mogę tego, to uniwersytet ma eksterytorialność”. Ja mówię: „Kto ci nagadał takich bzdur? Ja nawet nie wiem, czy w tym kraju ambasady są eksterytorialne. Nie jestem pewien”. Mówię: „Ja raz widziałem, jak pałują i wiem, jak to będzie. Wejdą, będą was wszystkich pałować i wtedy najlepiej jest uciekać”. No i rzeczywiście tam, bo to nie mogło być inaczej.

**Wiesława Młynarczyk:** Co jeszcze pamiętasz z wydarzeń marcowych?

**Adam Gryniewicz:** Słuchaj, z wydarzeń marcowych pamiętam Krakowskie Przedmieście z gazami łzawiącymi. Oczywiście już później w tych następnych dniach marca, jak były strajki na uniwersytecie, na którym była moja siostra, również też w strajku tym nocnym brała udział. Tak że ja pracowałem, więc ja nie brałem w tym udziału. Ja od godziny siódmej rano zaczynałem pracę w Ursusie.

**Wiesława Młynarczyk:** No właśnie, a w fabryce coś mówiono na ten temat?

**Adam Gryniewicz:** W fabryce był wiec, oczywiście, jak we wszystkich fabrykach, tak.

**Wiesława Młynarczyk:** I co na tym wiecu?

**Adam Gryniewicz:** Tak, tak, na takim wiecu to... Ganiiono syjonistów, studenci do nauki, pisarze do pióra.

**Wiesława Młynarczyk:** Kto taki wiec przeprowadzał?

**Adam Gryniewicz:** Komitet dzielnicowy. To najczęściej było prowadzone przez komitety lokalny partii i komitet

zakładowy partii, i komitet miejski czy powiatowy, i to było w Ursusie, to był pewnie miejski, bo to nie był powiat. Był przedstawiciel komitetu miejskiego, był... ten, zakładowej organizacji partyjnej i już. Na ogół występował jakiś robotnik albo...

**Wiesława Młynarczyk:** Jak się z tym czułeś na takim wiecu?

**Adam Gryniwicz:** O, ja się czułem, ja po prostu byłem jako obserwator, wszyscy, bo wszyscy musieli przez to przejść, w związku z tym ja tego osobiście nie brałem do siebie. Oczywiście wiedziałem, że to się musi odbyć, wiedziałem, że ludzie będą stali i słuchali, wiedziałem, że to, co powiedzą, to nie ma nic wspólnego z prawdą, jak wiele rzeczy, które się mówiło. Tak że to był rodzaj ceremonii, którą trzeba... Taki ceremoniał na terenie całej Polski.

**Wiesława Młynarczyk:** A jaka była twoja reakcja na rok 1967? Czyli Izrael.

**Adam Gryniwicz:** Nie, no, moja reakcja na...

**Wiesława Młynarczyk:** To znaczy...

**Adam Gryniwicz:** Na co, na piątą kolumnę?

**Wiesława Młynarczyk:** Nie, nie na piątą kolumnę.

**Adam Gryniwicz:** W 1967 to była piąta kolumna.

**Wiesława Młynarczyk:** Nie, no, 1967 w Izraelu, czyli wygranie wojny.

**Adam Gryniwicz:** To była wtedy przecież ta słynna piąta kolumna, to była po wojnie sześciodniowej, był zjazd związków zawodowych, na których właśnie Gomułka wygłosił swoje słynne przemówienie i była piąta kolumna, tak że nie, oczywiście, ja jako...

**Wiesława Młynarczyk:** No właśnie, czy utożsamiałeś się wtedy jakoś z polityką Izraela?

**Adam Gryniwicz:** Nie, nie, nie.

**Wiesława Młynarczyk:** Cieszyłeś się, że Izrael wygrał?

**Adam Gryniwicz:** Po pierwsze nikt nie bardzo... Myśmy się nie bardzo orientowali w polityce Izraela, bo to nie była nasza... To nie była nasza, jak się mówi po angielsku „cup of tea”. Izrael był nam bliski tak w tym sensie bardziej uczuciowym niż ideologicznym. Myśmy wtedy żyli w Polsce i nikt nie zamierzał wyjeżdżać z tej Polski. Nikt nie zamierzał wyjeżdżać. U mnie w domu wprawdzie w roku 1959 wybrałem studia, bo jak twierdziła mama, Żyd powinien mieć praktyczny zawód, bo nie wiadomo, gdzie go będzie wykonywał, ale do 1968 roku, 10 lat w ogóle nie było mowy o wyjeździe. To nie była w ogóle sprawa, która była na porządku dnia. To była sprawa, która mogłaby być któregoś dnia na porządku dnia. Dlatego powiedziałbym, że to zawsze gdzieś tak... jako ewentualność istniało przez te wszystkie lata. Nawet jeżeli moja mama nie wyjechała, ale ta ewentualność wyjazdu, ewentualność sytuacji, w której trzeba będzie wyjechać, była... u mnie w domu przynajmniej, była czymś, co nie było odrzucone a priori.